

Anaruk chłopiec z Grenlandii

Czesław Centkiewicz

Wśród gromady dzieci eskimoskich, bawiących się między namiotami na brzegu morza, rej wodził Anaruk. Słuchali go nie tylko rówieśnicy, ale i starsi chłopcy. Nawet psy chętnie poddawały się jego rozkazom.

Anaruk miał dwanaście lat — był jednak tak silny, zręczny i odważny, że ojciec jego, Tugto, często zabierał syna ze sobą na polowanie.

Anaruk był z tego niezmiernie dumny.

Zaprzyjaźniłem się z nim bardzo prędko. Pozwoliłem mu obejrzeć moją broń i podarowałem nóż stalowy, który wzbudził w nim zachwyty. Następnego dnia Anaruk przyprowadził ze sobą swego brata, pięcioletniego Nukuna, żeby i on obejrzał te cuda. Musiałem wszystko pokazywać jeszcze raz i objaśniać, co do czego służy.

Ze zdumieniem dotykali mięciutkiego, wełnianego swetra.

— Jak wygląda zwierzę, które ma takie futro? — zapytał Anaruk

Z trudem wytłumaczyłem mu, jak się robi materiał. Nie przypuszczał, że można nosić ubranie z czegoś innego niż skóra. Kazał obracać się Nukunowi na wszystkie strony i pokazywał mi, jak uszyte są jego spodnie z futra białego niedźwiedzia, bluza ze skóry foki i buty z miękkiej skóry młodego rena.

Tak ubiera się Eskimos w lecie. Ale lato trwa tutaj tylko trzy miesiące i jest zaledwie tak ciepłe, jak nasza wczesna wiosna. Jesieni nie ma właściwie wcale — od razu zjawiają się zimne wiatry, śnieżyce i wielkie mrozy, dochodzące do pięćdziesięciu stopni. I tak bez przerwy przez długie miesiące.

Wtedy mieszkańcy Grenlandii, a jest ich kilkadziesiąt tysięcy na wybrzeżach tej największej wyspy świata, chodzą otuleni w futra. Ledwie nosy widać. Nawet niemowlęta zawija się w skóry. Matki nie noszą dzieci na rękach, lecz w dużej Kieszeni, naszytej w ubraniu na plecach. W ten sposób mają swobodne obie ręce do pracy. A pracy nie brak kobiecie eskimoskiej.

Grenlandia liczy ponad dwa miliony kilometrów kwadratowych, a więc jest prawie siedem razy większa od całej Polski. Gdyby północny skraj wyspy umieścić w Szczecinie, południowy kraniec sięgnąłby daleko w głąb pustyni Sahary w Afryce. Prawie cała Grenlandia skuta jest lodem. W samym środku wyspy grubość lodowej pokrywy dochodzi do trzech kilometrów i naturalnie nigdy nie taje.

Śniegi topnieją tylko na południowo-zachodnich brzegach i tam na poletkach ziemi wyrastają trawy i mchy, a wśród nich małe, ale barwne kwiatki.

Lato jest tak krótkie, że niektóre rośliny nie zdążą w ciągu jego trwania przekwitnąć i owocować. Zaczynają kwitnąć jednego lata, zimują pod śniegiem i owoce mają dopiero na następną wiosnę.

Podczas lata rodzina Anaruka mieszka na brzegu morza w namiotach zrobionych ze skór fok i renów. Obok stoją namioty ich krewnych i przyjaciół.

Najtrudniej jest zdobyć drewno na pale do namiotów. Lasów na Grenlandii nie ma — czasami zdarzają się tylko niskie krzaki. Większe kawałki drewna można wyłowić jedynie... z morza. Fale morskie rokrocznie wyrzucają tu na brzeg szczątki rozbitych statków lub kłody drzew, przyniesione przez prądy morskie z dalekich brzegów Syberii.

Drzewo to skarb prawdziwy: można zeń zrobić pal do namiotu, części do sań lub szkielet kajaka, ale ludzie Dalekiej Północy umieją sobie jakoś poradzić i bez drzewa: skóry namiotu rozpinają na żebrach wielorybów.

Namiot taki wcale nie jest szczelny — deszcz przedostaje się; do środka. Anaruk nie martwił się jednak, że woda kapie mu na głowę, dziwił się nawet bardzo, że my w Europie nawet w lecie mieszkamy w kamiennych domach. Gdy pokazałem mu fotografię ulic Warszawy, śmiał się początkowo, później zapytał z niedowierzaniem:

— Chyba żartujesz! Ci wszyscy ludzie nie mogą przecież mieszkać razem — skąd wzięliby tyle mięsa do jedzenia?

Tłumaczyłem mu, jak mogłem, ale nie wiem, czy udało mi się go przekonać.

Zdobycie pożywienia to sprawa życia i śmierci dla mieszkańców Grenlandii. Polowanie na zwierzęta morskie, tak jak to robią Eskimosi w dalekich zakątkach Grenlandii, nie jest rzeczą łatwą ani bezpieczną. Latem wypływają na morze w kajakach. Nic a nic niepodobnych do naszych. Szkielet buduje się przeważnie z żeber zwierzęcych powiązanych rzemieniami; obciąża się go skórami, pozszywanymi jak można najszczelniej. Otwór, w którym siedzi myśliwy, jest bardzo ściśle dopasowany do jego wymiarów. Jeśli łódka przedziurawi się w czasie polowania, myśliwy nie

może wydostać się z niej i tonie.

Na wyprawę Eskimos ubiera się-w specjalny skórzany kaftan, związany wokół kostek na rękach, pod brodą i dookoła otworu kajaka. W ten sposób tworzy on z myśliwym jedną wodoszczelną całość. Każdy uczy się tu polować z kajaka już od małego dziecka. Gdy tylko umie dobrze chodzić, dostaje swój pierwszy kajak; potem, w miarę jak podrasta, coraz to większy, aż wreszcie chłopak sam musi sobie zrobić łódkę na swoją miarę.

Przeraziłem się ogromnie, gdy zobaczyłem kiedyś z brzegu, że kajak Anaruka przewrócił się do góry dnem. Już chciałem pospieszyć mu na pomoc, gdy raptem roześmiana twarz chłopca ukazała się nad wodą i po chwili łódka płynęła normalnie.

Przypomniałem sobie wtedy, że myśliwi lubią popisywać się swoją zręcznością, która nierzadko ratuje im życie. Nieraz burza spotka ich na morzu, a fala wyróci kajak, wtedy jednym silnym ruchem wiosła lub ramienia umieją przywrócić go do zwykłej pozycji. Zdarza się jednak, że po dłuższej walce z falami, gdy siły myśliwego wyczerpią się, ginie w lodowatej wodzie.

Tugto umiał przekoziółkować z kajakiem kilkanaście razy i nic mu się nigdy złego nie stało.

Razu pewnego, wczesnym rankiem, gdy morze było zupełnie spokojne, wybraliśmy się sześcioma kajakami na polowanie. Każdy z nas zabrał harpun, dzidy i strzały. Musiałem wiosłować z całych sił, żeby nadażyć za moimi towarzyszami.

Zatrzymaliśmy się między skalistymi wysepkami, często podobno odwiedzanymi przez foki. Na razie nie mogłem dostrzec ani jednej, jednak Tugto kazał nam siedzieć w kajakach zupełnie bez ruchu, żeby nie spłoszyć zwierzyny. Długo tak czekaliśmy i myślałem, że już nic nie będzie z polowania, aż tu nagle, w odległości kilkudziesięciu metrów, na powierzchni morza ukazała się mała, okrągła głowa z długimi wąsami.

Kajaki Eskimosów bez plusku ruszyły w tym kierunku. Zostałem na miejscu, bo wiedziałem z góry, że nie będę umiał wiosłować tak cicho, jak oni.

Podjezrzyliwa foka schowała się pod wodą, zanim moi towarzysze zdołali

do niej podpłynąć, i znów musieliśmy długo czekać w ciszy, wstrzymując oddech.

Dopiero za trzecim razem myśliwym udało się podpłynąć do foki na odległość rzutu harpunem. Foka trafiona znikła w morzu, ale w tym miejscu na powierzchni wody utrzymywał się pęcherz skórzany napełniony powietrzem i przywiązany rzemieniem do harpuna.

Jest to bardzo dowcipne urządzenie: w ten sposób Eskimos widzi, gdzie zatonał jego łup, a jeśli nawet chybi celu — może zawsze wyłowić swą broń.

Ostrze harpuna zrobione jest z twardej kości i osadzone na drewnianej rękojeści. Bywają także harpuny innego rodzaju: po wbiciu ostrza w ciało zwierzęcia drzewce odłącza się i pozostaje w ręku myśliwego.

Pod koniec dnia upolowaliśmy pięć wielkich, tłustych fok. Z zainteresowaniem oglądałem te zwierzęta, które dostarczają Eskimosom mięsa, tłuszczu i skór. Dwumetrowe prawie, walcowate ich ciała zakończone były dwiema przednimi płetwami i jedną tylną. Lśniaca, ciemnoszara sierść o krótkim, dość sztywnym włosie w niczym nie przypominała puszystego, czarnego futra, jakie chętnie noszą kobiety u nas.

Cała osada wybiegła na brzeg na nasze spotkanie. Ludzie krzyczeli, psy szczekały — wszyscy cieszyli się na myśl o ucztach.

Wyciągnęliśmy na brzeg upolowane foki. Za pomocą długich noży — żaden myśliwy nigdzie nie rusza się bez takiego noża — zabraliśmy się do ściągania skór i ćwiartowania mięsa. Eskimosi kilkoma zręcznymi ruchami odcinali skórę, którą oddawali kobietom, i szybko dzielili zdobycz. Gromadka dzieci otoczyła ich ze wszystkich stron, wiedziały one doskonale, że dostaną ulubiony przysmak — delikatny, o słodkawym smaku tłuszcz znajdujący się tuż pod skórą.

Zrobiło się straszne zamieszanie i hałas. Każdy chciał schwytać jak najwięcej. Wszystko jednak odbywało się na wesoło, ze śmiechem i żartami, bo dzieci eskimoskie, tak samo zresztą jak i ich rodzice, nie kłóca się nigdy ani nie biją.

W razie sprzeczki Eskimosi stają naprzeciwko siebie przed całą ludnością osady i jeden na drugiego układają złośliwe piosenki. Wszyscy się śmieją i cieszą z udanych żartów, a zwycięzcą zostaje ten, którego piosenki

są dowcipniejsze. Ośmieszony przeciwnik nie zacznie na pewno tak prędko nowej kłótni.

Opowiadano mi zabawną historyjkę o dwóch podróżnikach, którzy zamieszkali wśród Eskimosów. Pewnego razu naradzając się nad dalszą podróżą wpadli w taki zapał, że przekrzykiwali jeden drugiego. Eskimosi, usłyszawszy podniesione głosy, zbiegli się całą gromadą, prosząc, żeby się podróżnicy prędzej pogodzili. Uspokoili się dopiero, gdy im wytłumaczono, że to była tylko przyjacielska pogawędka.

Złodziejstwo jest tu również nie znane. Tugto nie mógł w żaden sposób zrozumieć, gdy pytałem, czemu nie zamyka swych rzeczy. „Mogą ci je przecież ukraść” — chciałem powiedzieć, ale w języku eskimoskim nie ma słowa „kraść”. Nikt nie chowa skór, jedzenia, nikt nie zamyka namiotu, bo i po co? Każdemu wolno pożyczyć sobie ten przedmiot, jakiego mu potrzeba, nawet w czasie nieobecności właściciela. Nigdy się jednak nie zdarza, aby wypożyczona rzecz nie została oddana w jak najlepszym porządku.

Ta ufność i gościnność są, niestety, wielokrotnie nadużywane przez kupców i handlarzy, którzy przyplývają tu na statkach niegodziwie wykorzystując naiwnych i łatwowiernych Eskimosów.

Wiele innych zalet odkryłem w tych ludziach w czasie mego pobytu na Dalekiej Północy: są bardzo skromni, nie przechwalają się, nie kłamią i nie obmawiają wzajemnie. Gdy myśliwy upoluje zwierzę — często nawet z narażeniem życia, nie opowiada wszystkim naokoło, jaki to z niego zuch, ale mówi skromnie, że mu się udało, i zaprasza wszystkich do podziału zdobyczy.

Zmarznięty i głodny wędrowiec, który zawita do osady, będzie przyjęty jak najlepszy przyjaciel, dostanie zawsze najsmaczniejsze kęsy jedzenia i najlepsze miejsce do spania.

Czasami zdarzyć się jednak może, że myśliwy popełni jakiś czyn krzywdzący innych. Wtedy zbiera się na sąd cała osada i winowajca musi przyznać się do wszystkiego. To samo jest już dostateczną karą. W przyszłości będzie się z pewnością wystrzegał podobnego postępowania.

Bywają jednak takie wypadki, co prawda bardzo rzadko, że ktoś postępowaniem swoim oburzy całą osadę. Wtedy zbierają się wszyscy i każą

winowajcy odjechać. Siada on do kajaka, zabiera broń, trochę żywności i płynię „dokąd go oczy poniosą”. Jeżeli dotrze do innej osady, przyjmują go tam gościnnie. Może zamieszkać w niej na stałe, pod warunkiem, oczywiście, że nie popełni znów jakiejś niegodziwości. Przeważnie jednak kara ta jest zupełnie wystarczająca.

W lecie Eskimosi polują także na dzikie reny. Po raz pierwszy zobaczyłem, jak olbrzymim stadem przepływały jeziorko. Ponad wodą widać było tylko łby i las ogromnych, krzaczastych rogów.

Na brzegu przystanęły na chwilę, otrząsając się z wody. Są one bardzo podobne do naszych jeleni, znacznie jednak większe, o grubszych nogach i dużej głowie. Rogi mają mocniejsze, lecz mniej rozgałęzione. Sierść jasnokawową lub czasami brązową.

Na zimę sierść rena staje się prawie biała i niezwykle puszysta. Samce zmieniają co roku rogi. Na początku zimy tracą stare, a już w marcu zaczynają wyrastać im na głowach nowe.

Reny żywią się trawą, porostami i pędami karłowatej wierzby. W zimie umieją wygrzebać pokarm mocnymi kopytami nawet spod metrowej warstwy śniegu. Z braku pożywienia mogą długo głodować, jeśli mają dostateczny zapas tłuszczu. Ze skór ich Eskimosi, mieszkający z dala od wybrzeży morskich, robią namioty i ubrania, z kości — broń, ze ścięgien — nici, a mięso jest smacznym i zdrowym pożywieniem, chociaż nie tak tłustym, jak mięso foki.

Eskimosi polują na reny za pomocą łuków i dzid. Nie może to być jednak ta sama broń, jakiej używa się do polowań na zwierzęta morskie. Myśliwinyśla, że reny obraziłyby się i uciekły daleko w głąb lądu, gdyby zabijano je tą samą bronią, co zwierzęta żyjące w wodzie.

Pewnego dnia przybiegli do nas myśliwi z wiadomością, że o parę kilometrów napotkali stado renów.

Wielki ruch zapanował w osadzie — wszyscy, poczynając od dzieci, a kończąc na starcach, rzucili się do przygotowań. Na szlaku zaczęto z wielkim pośpiechem budować ogrodzenie z kamieni, wytyczając nimi z obu stron coś w rodzaju drogi szerokiej na początku, a następnie coraz bardziej się zwężającej. Na ogrodzeniu tym poustawiano w niewielkiej od siebie odległości

okrągłe kamienie wielkości głowy ludzkiej.

Zatrzymałem Anaruka, który na wyścigi z innymi chłopcami znosił kamienie.

— Co to wszystko znaczy? — zapytałem.

— Widzisz, renom będzie się zdawać, że to głowy ludzi zaczajonych za ogrodzeniem, nie będą więc próbowały uskoczyć w bok — odpowiedział, trochę zdziwiony moim pytaniem.

Gdy wszystko było już gotowe, kobiety i dzieci wyruszyły na spotkanie stada. Szły w milczeniu, żeby nie spłoszyć zwierząt, które są tak czujne, że trzeba je okrążyć z daleka, zachowując się przy tym bardzo ostrożnie.

Na skraju pasącego się stada stoją zwykle wartownicy — reny, które zwracają baczną uwagę na całą okolicę. Jeżeli tylko dostrzegą lub usłyszą coś podejrzanego, alarmują natychmiast resztę stada, które rzuca się do ucieczki. Dogonić ich wtedy nie sposób, bo biegają bardzo szybko.

Anaruk kładł się co kilkanaście metrów i przyłożywszy ucho do ziemi, nadsluchiwał tętentu racic. Wreszcie z rozradowanej jego miny i znaków, jakie dawał, zrozumieliśmy, że zwierzęta są już blisko.

Po chwili do naszych uszu dobiegł dziwny, suchy trzask, jakby stukot kawałków drewna. To zwierzęta, biegnąc w ciasnej gromadzie, zderzały się rogami.

Co prędzej rozdzieliliśmy się na dwie grupy — musieliśmy okrążyć stado z dwóch stron i wpędzić je między kamienne ogrodzenie. Szczęśliwie wiatr nam sprzyjał, a pagórki i wielkie kamienie rozrzucone tu i ówdzie zasłaniały nas trochę. Wolniutko, w wielkiej ciszy, podpełzaliśmy do stada, które nie podejrzewając zasadzki zatrzymało się, żeby po-skubać trochę mchów.

Naraz, na dany znak, podniósł się taki straszliwy wrzask, jakby sfora wilków ruszyła do ataku. Chłopcy pod wodzą Anaruka używali, co się zowie: szczekali jak psy, wyli jak wilki.

Stado rzuciło się do ucieczki. Pędzone otaczającym je dokoła wrzaskiem, wpadło między kamienne płoty prosto na myśliwych, zaczajonych w najwyższej części zagrody.

W kilkanaście minut polowanie było skończone. W całej osadzie za-

wrzała praca. Myśliwi ściągali skóry z zabitych zwierząt i ćwiartowali mięso. Kobiety przygotowywały zapasy na zimę, krając wielkie połcie mięsa na cienkie, długie pasy, i zawieszały je na żerdziach, żeby wyschło dobrze na słońcu i wietrze. Niezadługo myśliwi ukryją je pod ciężkimi kamieniami, żeby nie padło pastwą lisów i wilków. Gorzej, jeśli niedźwiedź natrafi na kryjówkę — odrzucić najcięższe głazy to dla niego fraszka.

Po ukończeniu pracy zabraliśmy się do uczty. Największy przysmak — to zupa.

W wielkim kotle gotuje się przez trzy dni i trzy noce kopyta, kości i czaszki renów. Kości są przedtem dokładnie potłuczone. Nie radziłbym nikomu próbować takiej zupy. Kopyta są nie myte, a niektóre kości — poobgryzane już przez psy. Ale Eskimosom to bardzo smakuje.

Gdy zupa była gotowa, chłopcy rozbiegli się po namiotach, zwołując wszystkich na ucztę. Niedaleko ogniska, na trawie, usadowiono się kołem. Pośrodku, na drewnianej tacy, położono dymiące jeszcze kawałki mięsa. Najdzielniejszy z myśliwych pierwszy dostał wielką porcję. Schwycił ją zębami i tuż przy samych wargach odciął kęs nożem, resztę podając sąsiadowi. To samo powtarzało się wiele, wiele razy, dopóki wszyscy nie najedli się do syta.

Nic dziwnego, że wielu Eskimosów ma pocięte wargi; noże ich są zawsze bardzo ostre. Ulubionym urozmaiceniem monotonnego zazwyczaj jedzenia jest mięso i wnętrzności zwierząt w stanie lekko nadpsu-tym, o smaku starego sera. Mięso takie przechowuje się w ciągu długich miesięcy w ciemnych, zimnych skrytkach, tak żeby nie dochodziły do niego promienie słońca.

Nie bardzo smakowały mi te eskimoskie specjały, ale musiałem ich nieraz próbować, żeby nie urazić gospodarzy. Wybierali przecież dla mnie najtłustsze, największe kąski. Na szczęście nie rozchorowałem się po tym poczęstunku tak, jak jeden ze znanych podróżników, który życiem przypłacił taką ucztę. Pewnego razu nie chciałem zjeść dużego kawałka ciepłego jeszcze szpiku świeżo upolowanej fokki, tłumacząc, że u nas w Polsce nie bierzemy do ust surowego tłuszczu, ale nikt nie chciał mi wierzyć.

Mieszkańcy Grenlandii z wielkim apetytem zjadają surowe mięso, bo i na czym mają je gotować?

W lecie dzieci zbierają i suszą trawy, mchy i nawóz ptaków czy renów. W zimie wytapiają lód na wodę do picia i czasem, bardzo rzadko, podgotowują trochę mięsa nad płomieniem lampy. Lampą nazywają wydrążony kamień, w który myśliwi nalewają tłuszczu foki, morsa lub wieloryba i zanurzają w nim knot zrobiony z wysuszonej trawy. Lampa daje trochę światła, trochę ciepła i bardzo, bardzo dużo sadzy. Ale tym się nikt nie przejmuje.

Po uczcie rozpoczęły się zabawy. Nim się spostrzegłem, porwano mnie i zaczęto podrzucać do góry na zeszytych skórach. Po chwili uwolniono mnie i złapano jednego z myśliwych. Wtedy dopiero mogłem się przypatrzeć, jak śmiesznie wygląda człowiek wylatujący w powietrze i wymachujący bezradnie rękami i nogami. U nas taka zabawa nazywa się „żabką”. Na obozach harcerskich bawiliśmy się często w ten sposób, używając do tego koców, a nie skór. Nigdy nie spodziewałem się, że podobną zabawę spotkam pod biegunem północnym.

Inna grupa Eskimosów zaprosiła mnie do zawodów — kto dalej rzuci dużym, ciężkim kamieniem, a jeszcze inna — do zabawy w piłkę nożną. Trudno byłoby odgadnąć, z czego zrobili sobie piłkę! Po prostu... z czaszki morsa, a trzeba ją było tak zręcznie kopnąć, żeby kłami upadła na ziemię.

Gdy pobiegłem na brzeg morza, by opłukać ręce po tej zabawie, Anaruk nie mógł mi się nadziwić.

— Po co ty to robisz? — pytał. Wziął do rąk moje mydło, obejrzał, powąchał i... zaczął zajadać. Rozśmieszyło mnie to w pierwszej chwili.

— Z czego się śmiejesz?! — zawołał. — Przecież to bardzo smaczne, tyle w nim tłuszczu!

Zjadł wszystko i nawet nie zachorował, ale gdy dałem mu kawałek czekolady, myśląc, że zrobię chłopcu tym wielką przyjemność, powąchał ją tylko i czym prędzej wyrzucił.

— To tak wstrętnie pachnie — powiedział, skrzywiony, na swoje usprawiedliwienie...

Czasami, dość rzadko, Eskimosi kąpią się w rzekach lub w morzu, naturalnie tylko w lecie, chociaż i wtedy woda jest bardzo zimna. Mając tak mało sposobności do kąpieli, żaden z nich nie umie pływać. Zimą z trudem

udaje się im wytopić tyle wody, ile potrzeba do picia. Nie myją się więc często ani nie piorą, bo jakże prać futro? Bielizny nie noszą wcale. Na gołe ciało chętnie nakładają koszulki z miękkich skórek ptaków, obróconych puchem do wewnątrz.

Do polowań w kajakach Eskimosi używają ubrań ze skóry foki gładko wyprawionej. Zazwyczaj noszą kaftan oraz spodnie z foki lub rena, sięgające do kolan, i buty z cholewami, składające się z dwóch warstw skór: zewnętrznej — foczej, i wewnętrznej — z futra psa lub królika. Grubą podeszwę robią ze skóry morsa, często wkładając jeszcze do buta warstwę suchej trawy, która dobrze wchłania wilgoć i chroni przed mrozem.

Podczas siarczystych mrozów do łowów na lodzie myśliwi wkładają skórę białego niedźwiedzia, która mimo licznych zalet ma jednak wielką wadę: jest bardzo ciężka. Toteż chętnie używają także ubrań z ciepłych, lekkich skór rena, ale te zużywają się bardzo szybko, a łamiącą się łatwo sierść można znaleźć wszędzie: w jedzeniu, w oczach, w ustach, w nosie. Poza tym brązowy kolor futra zbyt jaskrawo odbija od bieli śniegu i straszy zwierzęta.

Ubrań takich musi mieć Eskimos co najmniej dwa, jeżeli popłynie kajakiem, a przewróci go fala, ubranie nasiąka wodą i trzeba je długo suszyć. Przepocone albo przemoknięte ubranie wiesza się na specjalnych rusztowaniach nad ogniskiem lub na mrozie, bo wtedy cała wilgoć zamarza w wielkie kryształy lodu, a te łatwo wykruszają się z futra.

Najwięcej kłopotu jest zawsze z butami; ostre kamienie i lód niszczą je bardzo szybko. Matka Anaruka nieraz skarżyła mi się, że nie może nadażyć z szyciem obuwia dla swych synów.

W miarę jak dni stawały się krótsze, w osadzie coraz bardziej spieszono się z robotą. Mężczyźni zajęci byli polowaniem i rybołówstwem, a kobiety naprawiały i szyły odzież zimową z grubych, ciepłych skór. Od ilości zgromadzonego mięsa i ryby zależy, czy osada nie będzie cierpieła głodu-w zimie i na wiosnę.

Noce były już bardzo chłodne, coraz więcej futer musiałem wciągać na swe posłanie, żeby nie zamarznąć na kość w nieszczelnym namiocie, do którego mroźny wiatr przedostawał się ze wszystkich stron.

Dni też nie były ciepłe i dreszcz mnie przejmował, gdy patrzyłem, jak Eskimosi łowią łososie, stojąc godzinami po kolana w lodowatej wodzie.

Na rzece zrobili zagrodę z kamieni, długimi kośćmi morsa uderzali mocno powierzchnię wody, płosząc w ten sposób i naganiając ryby do zagrody, tam zabijali je dzidami i wyrzucali na brzeg.

Pewnego dnia mężczyźni zebrali psie zaprzęgi i wyruszyli na polowanie. Kobiety opraciały złowione w przerębli łososie. Inne ostrymi nożykami z kości zeskrobywały resztki tłuszczu ze skór upolowanych jeszcze w jesieni fok.

— Żeby tylko naszym myśliwym udało się zdobyć dużo mięsa — westchnęła jedna. — Niedługo stąd odjedziemy, nie będzie już ani fok, ani morsów.

— Słyszysz? — Anaruk trącił w bok swego przyjaciela Omialika. — Co byś powiedział, żebyśmy sami spróbowali zapolować? Omialika nie trzeba było długo namawiać.

— Zabierz tylko harpun! — przypomniał Anaruk, przejęty swą rolą przewodnika.

Dwaj chłopcy wymknęli się chyłkiem z osady. Z początku czuli się bardzo szczęśliwi. Wszystko bawiło ich i śmieszyło. Nie czuli mroźnych podmuchów wiatru zwiastującego zbliżanie się burzy, nie słyszeli trzasków pękającej na morzu kry. Opowiadali sobie, jaka to będzie radość, gdy przywiozą ze sobą fokę, a może nawet, kto wie, przyciągną białego niedźwiedzia, tak ciężkiego, że wszystkie psie zaprzęgi z osady nie będą mogły go udźwignąć.

Szli i szli rozprawiając. Raz po raz zapadali się po kolana w rozpadliny, bo młody lód, którym ścięty był ocean, pękał tu i ówdzie pod ich krokami. Ale na próżno wypatrywali zwierzyny. Ani jednej foki na krze, ani śladu białego niedźwiedzia. Zmęczeni, postanowili zawrócić. Omialik pierwszy spostrzegł małe stadko wtulonych w śnieg pardw i co sił pobiegł w ich stronę. Anaruk pozostał sam.

Nagle usłyszał jakiś bulgot — chlup, chlup. Taki właśnie dźwięk wydawała foka podpływająca do otworu oddechowego, żeby zaczerpnąć powietrza. Chłopak ścisnął mocno harpun w dłoni, podpełznął do otworu i

zajrzał ostrożnie do środka. Nic, ciemna, lśniąca głębia. Chlup, chlup — usłyszał znowu po chwili. Wbił harpun na oślep w wodę i sam sobie nie wierzył.

Foka! Trafiona celnym rzutem, znieruchomiała pod lodem. Gdyby nie rzemień, przywiązany do harpuna, poszłaby na dno. Anaruk niemało się natrudził, nim ją wydobył na powierzchnię. Zapomniał o Omialiku, o silnych podmuchach wiatru, o trzasku kry dookoła. Nigdy jeszcze dotąd nie upolował sam foki, zawsze dopomagał tylko ojcu.

— Zaraz przyjdę, poczekaj — odpowiedział słysząc głos przyjaciela.

Ale Omtalik wołał coraz głośniejsze, coraz rozpaczliwiejsze. „Może mu się coś stało?” — Anaruk zerwał się na równe nogi i krzyknął z przerażenia. Niewielka kra, na której stał, oderwała się od pola lodowego i gnana wiatrem wypływała na pełne morze. Daleko na brzegu stał Omialik

i wrzeszczał wniebogłosy. Nagle zawrócił i co tchu pobiegł w kierunku osady.

„Stchórzył” — pomyślał z goryczą Anaruk. Niespokojnie rozejrzał się dookoła. Kra była niewielka — szerokie pasma wody pokrytej drobnymi odłamkami lodu dzieliły go od brzegu. Poszerzały się szybko, nie było mowy, by je przeskoczyć. Co począć? Nie warto było krzyczeć. I tak nikt nie usłyszy. Pozostało jedno — czekać.

Anaruk przypomniał sobie myśliwych, którzy wywiezieni z krą na pełne morze, ginęli z głodu i pragnienia.

— Z głodu to chyba nie umrę — pocieszał się patrząc na upolowaną fokę. Przez chwilę wydawało mu się, że w dali coś się porusza. Może pomoc nadchodzi? A jeśli to niedźwiedzie? Na samą myśl zrobiło mu się gorąco. Ciemne punkciki na horyzoncie rosły z każdą chwilą. Podmuchi wiatru przyniósł naszczekiwania psów, Anaruk odetchnął z ulgą. A chociaż prądy znosiły szybko krę na pełne morze, wiedział, że jest uratowany.

W chwilę później zaprzęg zatrzymał się na brzegu. Tugto przywiązał mocno do bryły lodu psy, które rwały się do chłopca, i zdjął z sań kajak. Anaruk przeraził się nie na żarty. Wiedział, że pływanie wśród kry i odłamków lodu w cienkim, skórzanym kajaku jest bardzo niebezpieczne. Pędzone prądem morskim i wiatrem, mogą podziurawić łódkę lub zgnieść ją

jak łupinkę orzecha.

— Rzucam ci harpun. Złap linę i trzymaj mocno. Będę cię ciągnął do brzegu! — krzyczał z daleka Tugto.

Anaruk schwycił rzucony pewną dłonią harpun. Lina naprężyła się. Chłopiec o mało nie wpadł do wody. Wparł się mocno nogami w krę i z całych sił trzymał linę. Byle jej tylko nie puścić!

Wolno, roztrzając mniejsze bryły lodu, omijając większe, krążąc i kołując popłynęli do brzegu. Droga była bardzo niebezpieczna — nie można było spieszyć, chociaż na niebie coraz więcej gromadziło się ciężkich, ciemnych chmur.

Wiosła coraz szybciej uderzały w wodę. Między chłopcem a brzegiem pozostał tylko niewielki kanał wodny zapchany masą drobnej kry. Tugto wyskoczył na lód.

— Owiąż się liną w pasie!

— Co mam zrobić z foką? Sam upolowałem! — krzyczał Anaruk.

— Rzuć mi ją tutaj. Ot, tak! A teraz uwaga, skacz!

Tugto szarpnął za linę i w jednej chwili, zataczając wielki łuk w powietrzu, chłopiec znalazł się przy ojcu.

Fokę bez słowa rzucił Tugto na sanie i podciął batem psy. Chłopiec biegł obok zaprzęgu, żeby się rozgrzać. Nadciągała szybko burza. Przed nią właśnie myśliwi uciekali, nie chcąc pozostać daleko od osady podczas zadymki, która mogła trwać wiele dni. Zaprzęg dopadł osady w chwili, gdy spadły pierwsze płaty śniegu. Ucieszyliśmy się wszyscy na widok szczęśliwie powracających do osady. Chwaliliśmy Omialika, że nie stchórzył, a szybko zawezwał pomoc, i podziwialiśmy wszyscy zdobycz Anaruka.

— Zapraszam wszystkich na ucztę. Mój syn przywiózł dziś fokę — cieszyła się matka. Objęła syna, przyciskając na znak czułości swój nos do jego noska. — Będzie z niego pociecha! — powtarzała uradowana.

— Pod warunkiem, że zmądrzeje — powiedział surowo Tugto. — Dobrze, że chciałeś przynieść matce świeżego mięsa. Obowiązkiem mężczyzny jest dbać o dom, ale na drugi raz nie wymykaj się sam na polowanie. Mądry chłopak tak nie postąpiłby. Niewiele brakowało, a moglibyśmy zginać obaj.

Pewnego poranka, wychodząc z namiotu, nie poznałem osady — wszystko było białe! Śnieg!

Eskimosi zaczęli pospiesznie zbierać się do wymarszu do swej osady zimowej. Zwinęli namioty, powiązali skóry w duże tłumoki. Część mięsa i ryb zostawili na miejscu, pod kamieniami, jak w dobrze wietrzonej spiżarni. Cały dobytek podzielili tak, że każdy z mieszkańców miał coś do niesienia, nawet starsze dzieci obładowano bagażami.

Psy musiały też pracować. Nie ciągnęły one wózków, bo tych Eskimosi nie znają, a na sanki było jeszcze za mało śniegu. Po prostu przywiązano im do grzbietów duże tłumoczki. Nie bardzo to zwierzęta lubią, ale musiały pogodzić się ze swym losem i niebawem, wesoło machając ogonami i szczekając, aż uszy puchły od tego hałasu, wyruszyły za ludźmi. Przed odjazdem Anaruk nałożył im butki uszyte przez matkę z miękkiej skórki foki, żeby nie poraniły sobie łap o ostre kamienie i odłamki lodu.

Po dwóch dniach podróży po falistej, ubielonej śniegiem równinie doszliśmy wreszcie do miejsca, gdzie mieliśmy spędzić całą długą, mroźną zimę.

Zima jest tutaj tym przykrzejsza, że przez całe cztery miesiące bez przerwy trwa ciemność. Słońce nie ukazuje się wcale. Dopiero w marcu pojawia się co dzień na chwilę tuż nad horyzontem. Wtedy we wszystkich ludzkich osiedlach na Dalekiej Północy panuje radość. Mróz, bu-' rze śnieżne, męczące wichry — wszystko idzie w zapomnienie. Wraz ze słońcem nadchodzi czas letnich łowów. W maju rozpoczyna się dzień polarny i trwa bez przerwy przez pięć miesięcy. Słońce wtedy wcale nie zachodzi.

Obecnie musieliśmy przygotować dobre schronienie przed mrozem, śnieżycą i wiatrami.

Eskimosi szerokimi nożami z kości wieloryba lub rena wycinali wielkie bloki stwardniałego śniegu i ustawiali z nich domek podobny z kształtu do kopca z jednym małym wejściem tuż przy ziemi. Wszystkie szpary zalepiali śniegiem i dobrze ubijali. Robotą szła im szybko i sprawnie; przy mnie takie igloo na pięć osób wybudowali w niecałą godzinę. Do środka wpełzało się na czworakach, a otwór zasuwaliśmy dużym blokiem śniegu. W igloo jest zupełnie ciemno, bo nie ma okna. Pierwszą rzeczą jest więc zapalenie lampy,

którą wieszka się na harpunie wbitym w ścianę ze śniegu.

Samo rozpalenie ognia nie jest wcale łatwą sprawą. My używamy zapalek, nasi przodkowie rozpalali ogień cierpliwie trąc o siebie dwa kawałki dobrze suchego drzewa.

Na Grenlandii trzeba tak długo krzesać krzemień o krzemień, aż wyskoczy iskra i zajmie się przepojony tłuszczem knot z mchu. A jak to trudno zrobić, wie tylko ten, co sam próbował.

Może się to komuś wydawać dziwne, że w śnieżnym domku jest gorąco. Igloo jest niskie, cokolwiek tylko wyższe od człowieka, a ścianki ma bardzo szczelne, bez otworów i bez szpar, którymi mogłoby uciekać powietrze nagrzane przez płomień lampki i ciała ludzkie. Czasem upał staje się nie do wytrzymania. Podczas wielkich mrozów ognisko-lampa pali się bez przerwy dzień i noc, a otwór wejściowy jest przez kilka dni z rzędu zatarasowany, tak że nie ma dopływu świeżego powietrza — wtedy śnieżne mury topnieją od wewnątrz, powlekają się szklistą pokrywą i na głowy zaczyna zewsząd kapać woda. Bardzo to jest nieprzyjemne. Za przykładem Eskimosów rozwieszałem sobie nad głową skóry, ale to niewiele pomagało. Pod koniec zimy w ciepłym domku robi się coraz chłodniej i chłodniej, bo topniejące mury są coraz to cieńsze, zlodowaciałe i już nie chronią przed mrozem. Wreszcie wykrzywiają się grożąc zawaleniem. Przezorni Eskimosi zalepiają wytopione miejsca świeżym śniegiem, a gdy to nie pomaga, budują sobie nowe igloo. Budulca nie brak przecież, dostarczają go setki i tysiące kilometrów pól lodowych wokoło. Chociaż nie każdy śnieg nadaje się, jak uczył mnie Anaruk, na budowę domku.

Wkrótce rozszalały się takie śnieżyce, że nie sposób było nosa wytknąć na dwór. Dni były coraz krótsze i coraz ciemniejsze. Słońce ukazywało się na niebie tylko w samo południe i szybko zapadało za horyzontem.

Byłem bardzo ciekaw, jak Eskimosi spędzają długie, zimowe miesiące, zamknięci w małych, ciasnych igloo, czy im się nie sprzykrzy. Przekonałem się, że roboty i tu im nie brak. W domu rodziców Anaruka, gdzie często przesiadywałem, pracowano gorliwie. Mężczyźni naprawiali i przygotowywali nową broń. Z kości morsa strugali ostrza do harpunów i strzał, a mimo że narzędzia ich to kamienie, kości i zwyczajne noże — ostrza wychodziły

gładkie i zgrabne. Z ogromną cierpliwością, całymi godzinami, polerowali kość, trąc ją najpierw o kamień, a później jeszcze — o drugą kość.

Tugto chcąc odwzajemnić się za stalowy nóż, który mu dałem, ofiarował mi piękny nóż z kości morsa.

Wybrał gruby, największy kiel, odłamał odpowiedni kawałek, wygładził dokładnie i chociaż się nigdy nie uczył rysunków, wyrzeźbił na jego powierzchni całą historię polowania na morsy. Był tam myśliwy płynący w kajaku po wzburzonych falach i rzut harpunem, i ćwiartowanie mięsa, a nawet powitanie myśliwego w osadzie.

Byłem pewnego razu naprawdę zdumiony, gdy na moje pytanie, jak się dostać do odległej osady, Tugto narysował mi na kawałku kości dokładną mapkę okolicy. Można by pomyśleć, że geografii uczył się w szkole i za rysowanie planów dostawał same piątki.

Później przekonałem się, że Eskimosi są bardzo zdolni do rysunków, a szczególnie łatwo zapamiętują i umieją dokładnie narysować przebytą drogę. Nigdy się przy tym nie rnyła w oznaczeniu stron świata.

W poszukiwaniu zwierzyny muszą odbywać długie bardzo wędrówki. Odchodzą czasami na setki kilometrów od swych osad, w zupełnie nieznane okolice, gdzie miesiącami nie spotykają nikogo, kto by mógł im wskazać drogę, a jednak umieją zawsze powrócić do domu.

Gorzej było z rachunkami. Kiedyś Anaruk przybiegł do mego namiotu uradowany:

— Chodź, na brzegu są foki. Dużo, więcej niż dwie ręce, więcej niż trzeci palec u jednej nogi. Spiesz się!

— Co ty bredzisz? — spytałem nie wierząc własnym uszom, ale chłopak był już daleko. Wybiegając na brzeg przypomniałem sobie dopiero, jak trudny i niezrozumiały jest dla nas sposób liczenia używany przez Eskimosów. Im wydaje się prosty, ale ja długo nie mogłem się przyzwycząić. Istnieją w nim nazwy tylko dla pięciu pierwszych cyfr. Jeden — to „pierwszy palec jednej ręki”, dwa — „drugi palec”, a pięć

— to „jedna ręka”, sześć — „pierwszy palec drugiej ręki”, dziesięć — to „dwie ręce”, trzynaście — „trzeci palec jednej nogi”, a dwadzieścia

— to „cały człowiek” i tak dalej.

Tylko bardzo niewielu Eskimosów, specjalnie zdolnych do rachunków, umie liczyć ponad dwadzieścia. Biorą wtedy do pomocy ręce i nogi innego człowieka. I tak na przykład: trzydzieści dziewięć — to „czwarty palec drugiej nogi u drugiego człowieka”.

Jeszcze więcej niż myśliwi pracowały zimą w igloo eskimoskie kobiety. One to musiały przygotować skóry na ubrania, a zanim zabrały się do skrojenia ich i szycia, wiele miały z nimi kłopotu.

Gdy po powrocie z łowów myśliwi ściągali skóry z zabitych zwierząt, zaraz zabierały się do nich kobiety. Rozpinały każdą na ziemi i za pomocą ostrych kawałków krzemienia zdrapywały resztki tłuszczu i mięsa, a później pozostawiały skóry rozpięte na żerdziach, żeby wiatr podsuszył je jak najszybciej.

Dalszemu ciągowi wyprawiania przyglądałem się podczas długiej zimy i nocy polarnej.

Wysuszone, twarde jak drewno skóry fok i rena matka Anaruka rozłożyła na podłodze i jeszcze raz bardzo starannie oczyściła ostrymi kamykami ze śladów mięsa, a potem długo ugniatała w palcach, żeby je zmiękczyć. Delikatną skórę młodej fok, którą miał dostać Anaruk na letni kaftan, matka zmiękczyła jeszcze zębami. Sama nie dała jednak rady. Wtedy wszyscy zasiedli wokół skóry i zaczęli pracowicie żuć jej brzegi. Proponowali, żebym się do nich przyłączył, ale na sam ich widok szczęki mnie rozboleły. Trzeba być, widać, przyzwyczajonym od dzieciństwa do tej ciężkiej pracy.

Gdy wreszcie skóra była dostatecznie miękka, matka wielkim, ostrym nożem skroiła kurtkę i zaczęła ją zszywać dużą igłą z kości fok. Zamiast nici używała suszonych jelit zwierzęcych, nie bardzo cienkich, ale za to bardzo mocnych. Ubranie musi być lekkie, trwałe, szczelne, wszystkie szwy dokładnie zszyte. Gdyby podmuch wiatru przedostał się przez jakąś szczelinę, myśliwy zamarzlby na śmierć polując całymi dniami daleko od osady.

Eskimosi urozmaicają sobie pracę śpiewem. Głosy mają przyjemne i łatwo podchwytyją każdą nową melodię. Lubią też opowiadać różne bajki.

— W małym igloo na brzegu morza żyła sobie stara kobieta — mówił pewnego wieczora Tugto. — Ludzie z osady przynosili jej mięso i ryby, żeby

nie umarła z głodu, bo już nie miała nikogo bliskiego. Mąż jej i synowie utonęli wszyscy podczas polowania na morsy.

W okolicy było dużo niedźwiedzi, toteż często myśliwi znosili jej mięso, starając się wybrać co największe kawałki.

Pewnego dnia przyniesiono jej całego maleńkiego niedźwiadka, znalezionego przy zabitej niedźwiedzicy. Zwierzątko zmarznięte było na kość i staruszka myślała, że już nie żyje. Położyła je więc obok lampy, żeby odtajało i żeby je łatwiej było pokrajać.

Wtem, o dziwo... biała, puszysta kulka drgnęła, wyjrzało z niej jedno czarne oczko, drugie i niedźwiadek zaczął się ruszać. Staruszka zakrzętała się zaraz, stopiła trochę tranu, roztarła zmarznięte łapki, napiła misia i ułożyła go obok siebie na posłaniu.

Rano niedźwiadek zbudził się zdrowiutki i wesoły. Od tego czasu staruszka nie czuła się osamotniona w swym domku, rozmawiała z nim, a on szybko nauczył się ją rozumieć i odpowiadał mruzeniem. Często dzieci przychodziły do igloo i wołały: „Chodź pobawić się z nami!”

Wtedy staruszka upominała swego wychowanka: „A nie zapomnij schować pazurków, nie podrap dzieci!”

Posłuszne zwierzątko uważało, żeby nigdy przy zabawie nie zrobić nikomu krzywdy, ale cóż... rosło prędko i stawało się coraz silniejsze. Po pewnym czasie dzieci bały się bawić z nim, bo często niechcący tak je uderzało łapą, że przewracały się na ostre kamienie.

Aż wreszcie, gdy stało się dorosłym niedźwiedziem, przyszli myśliwi i powiedzieli: „Czas już, żebyś sam zapracował na swoje pożywienie!”

Chodź polować z nami, ryb nałowisz, fokę złapiesz, a dostaniesz swą część zdobyczy, tak jak każdy myśliwy”.

Niedźwiadek — bo pamiętacie, że rozumiał on doskonale mowę ludzką — pożegnał się ze swą opiekunką i poszedł za myśliwymi. A spisywał się doskonale, tropił świetnie zwierzynę, chwycił w potoku łososie zręczniejszy niż wszyscy i nigdy jeszcze w osadzie nie było takiej obfitości mięsa, co teraz.

Ale raz na polowaniu spotkał Eskimosów z innej osady. Nic nie wiedząc, że niedźwiadek poluje z ludźmi, zaczęli oni strzelać do niego z łuków i omal go nie zabili.

Staruszka dowiedziała się o tym i przeraziła się bardzo. Uplotła z rzemyków szeroki kołnierz, pięknie go ufarbowała na różne kolory, żeby z daleka był widoczny, i założyła na szyję swemu ulubieńcowi. Teraz wszyscy już wiedzieli, że miś w kołnierzu poluje wraz z ludźmi i nigdy im nic złego nie czyni.

Nikt już do niego nie strzelał. Jeden tylko myśliwy z Północy odgrażał się, że musi go zabić, bo nigdy jeszcze nie widział piękniejszego futra. Rzeczywiście w całej okolicy nie było jeszcze niedźwiedzia tak wielkiego i tak śnieżnobiałego.

Staruszka kochała swego wychowanka, czekała zawsze na niego, a gdy wracał z polowania, przyrządzała mu smaczne skwarki i grzała tran. Powtarzała mu przy tym często: „Pamiętaj, nie napadaj nigdy na ludzi, jeśli nie zrobią ci nic złego”.

Niedźwiadek słuchał we wszystkim swej opiekunki i cichym mrużeniem dziękował jej za dobre rady.

Razu pewnego nie wracał długo z polowania. Zaniepokojona staruszka wyszła na jego spotkanie i z przerażeniem zobaczyła z dala swego wychowanka wlokącego zabitego człowieka. Zawołała więc wszystkich z osady i ci poznali w zabitym myśliwego z Północy. Prawdopodobnie chciał on spełnić swą groźbę i usiłował zabić niedźwiedzia.

Staruszka gorzko wtedy zapłakała. „Jesteś zgubiony! Przyjdą teraz towarzysze zmarłego i ciebie zabiją — powiedziała — niedźwiadku miły, musisz mnie opuścić i schronić się gdzieś daleko od ludzi”.

A niedźwiadek położył się u jej stóp i również po swojemu zapłakał. Bardzo kochał swą opiekunkę i nie miał zamiaru się z nią rozstać.

Dobra staruszka nie chciała wypuścić swego wychowanka na śnieg i niepogodę. Co dzień wychodziła przed chatę i jeśli tylko zobaczyła zachmurzone niebo, wracała i zatrzymywała niedźwiadka. Aż wreszcie nastąpiły dni jasne i niebo było bez chmur.

„Teraz musisz już iść, mój drogi — powiedziała walcząc ze łzami — lepiej dla ciebie, jeżeli odejdziesz stąd daleko”.

Zdjęła mu kołnierz, a kiedy żegnała się z nim, dotknęła niechcący śnieżnobiałego futra ręką uwalaną w sadzy.

I przez wiele lat potem opowiadali sobie myśliwi o olbrzymim białym niedźwiedziu z czarną plamą na boku, który nigdy nie napadał na ludzi.

Długo, długo płakała staruszka z tęsknoty za swym wychowankiem. Żałowali niedźwiadka wszyscy mieszkańcy osady, ale nie zobaczyli go już nigdy.

Innego znowu razu opowiedział Tugto taką wesołą historyjkę:

— Czy wiecie, dlaczego kruk jest taki czarny, jednolicie i całkowicie czarny? Sam sobie zawinił, bo to straszny złośnik.

Dawno, bardzo dawno temu, gdy wszystkie ptaki były jeszcze jednokolorowego koloru, spotkały się kiedyś kruk i gęś. Uradziły, że sprzykrzyło im się to jednostajne upierzenie.

„Dobrze byłoby jakoś pięknie nawzajem się pomalować” — uradziły zgodnie.

Najpierw zabrał się do tej roboty kruk i pomalował gęś w prosty, czarny deseń na białym tle. Gęś była zachwycona i żeby się odwdzińczyć, pomalowała kruka tak samiuteńko!

Myślicie może, że kruk się ucieszył? Nic podobnego! Rozzłościł się okropnie, na całe gardło zaczął krzyczeć, że kolor jest smutny, a deseń paskudny — dobry, być może, dla gęsi, ale nie dla niego. Gaska się obraziła i wylała na kruka resztę farby.

Od tego czasu kruk jest cały czarny.

Opowiadania ciągnęły się często do późnego wieczora. Anarukowi oczy zamykały się same na długo przed ich końcem, potem powoli zasypiali inni, aż wreszcie Tugto opowiadał już dla mnie. Wiedząc, że nikt oprócz mnie go nie słyszy, opowiadał inne historie, nie tak już zabawne, bo zaczerpnięte ze swego codziennego, ciężkiego życia.

— Gdy byłem młodszy, chciałem bardzo mieć broń, jaką biali ludzie polują na zwierzęta. Myślałem, że wtedy w naszej osadzie nigdy nie zabrakłoby mięsa. Wiedziałem, że za jedną strzelbę trzeba dać dużo skórek białych i niebieskich lisów. Przez długie dwie zimy, na mrozie, podczas śnieżycy, często o głodzie, polowałem na lisy. Inni myśliwi pomagali mi także, bo wszyscy chcieliśmy, żeby w naszej osadzie była chociaż jedna strzelba. Wiosną, gdy minęła już wreszcie trzecia zima, do naszych brzegów podpłynął

wielki statek wielorybiczny. Wybraliśmy co najpiękniejsze skórki, załadowaliśmy na sanie i pojechaliśmy do marynarzy. Kapitanowi oczy zabłysły, bo naprawdę trudno było o ładniejsze. Ale oglądając je skrzywił się i powiedział, że są brzydkie i niewiele warte. Wiedziałem, że to nieprawda, ale cóż miałem zrobić? Zmartwieni, zaczęliśmy szykować się do powrotu. A wtedy kapitan pokazał mi dużą strzelbę. „Nie wiem, czy wystarczy tych nędznych skórek, które przywieźliście, żeby mi za nią zapłacić — powiedział. — Ale nie chcę wam sprawiać zawodu”.

Długo jeszcze rozkładał i zwijał skóry, oglądał jedną po drugiej, aż wreszcie zabrał wszystkie, a mnie dał strzelbę, woreczek z nabojami i pokazał, jak mam obchodzić się z bronią.

Uradowani, wyruszyliśmy z powrotem do osady. Po drodze spostrzeżliśmy wielkiego morsa, który drzemał spokojnie na krze lodowej. Podpełzłem ostrożnie. Gdy byłem już blisko, wycelowałem, nacisnąłem cyngiel — rozległ się tylko suchy trzask, tak jakby kra pękła, ale nie było żadnego huku. Wziąłem drugi i trzeci nabój — wszystko na nic. Żaden z nich nie wystrzelił. Sprawdziłem wszystkie po kolei.

Mors leżał sobie spokojnie na krze, a ja nie mogłem go upolować. Dlaczego? Moi towarzysze, myśląc, że nie umiem obchodzić się z tą bronią, wszyscy po kolei próbowali strzelać. Nic z tego. Zawróciliśmy czym prędzej, ale biali ludzie nie wpuścili nas wcale na statek i jeszcze wyśmiali. Wreszcie zaczęli nam grozić.

Smutni wracaliśmy do osady. Pomyśl tylko — tak długo zbieraliśmy skórki...

Następnego lata przyjechał do naszej osady myśliwy z Południa i od niego dopiero dowiedziałem się, że nasza strzelba nic nie jest warta, popsuta i tak stara, że nie można dostać do niej naboju. Powiedz, dlaczego kapitan nas oszukał? Czy zrobiłem mu coś złego?

Przed udaniem się na spoczynek wypełzałem często z igloo, żeby choć przez chwilę odetchnąć świeżym powietrzem; nie mogłem przywyknąć do gorąca i zaduchu, jakie panowały wewnątrz.

Jeżeli nie było chmur, podziwiałem jaśniejącą w górze zorzę polarną. Na ciemnym niebie, roziskrzonym setkami gwiazd, ukazywały się nagle

barwne, ruchliwe smugi światła, czasem wijące się jak cudne kolorowe wstęgi, czasem tworzące na niebie wspaniałe łuki, a czasem — i wtedy było najpiękniej — zbiegające się w zenicie w pałającą, olbrzymią gwiazdę.

Patrzyłem na nie zawsze jak oczarowany, póki nie zmarzłem porządnie. Tylko mróz mógł mnie zapędzić z powrotem do igloo, a mróz bywał siarczysty.

Przed zaśnięciem wtulony w puszystą skórę białego niedźwiedzia marzyłem o spotkaniu tego króla zwierząt polarnych, ale nie udawało mi się jakoś dotychczas zawrzeć z nim bliższej znajomości.

Pewnego dnia wyruszyłem z moimi przyjaciółmi na foki. Raptem o kilkanaście kroków od nas wynurzył się z morza wielki, biały, ociekający wodą niedźwiedź. On także był widać głodny.

Powoli, bez pośpiechu wdrapał się na krawędź lodu, otrząsnął swe wspaniałe futro, a zobaczywszy nas stanął jak skamieniały — ludzi widział pewnie po raz pierwszy. Stał tak jakiś czas bez ruchu, jego małe, błyszczące ślepia śledziły nas z uwagą. Żaden z nas nie drgnął, wiedzieliśmy, że niedźwiedź na ogół nie rzuca się pierwszy na człowieka. W razie zaskoczenia — najlepiej jest stać zupełnie spokojnie. Po chwili z szerokiej, białej piersi wydobył się głuchy pomruk, niedźwiedź stanął groźnie na dwóch łapach, jak gdyby chciał nam się pokazać w całej swej okazałości, a potem... obróciwszy się do nas tyłem, rzucił się do wody tak szybko, jak to potrafią białe niedźwiedzie.

Tugto bardzo żałował, że nie mieliśmy ze sobą ciężkich oszczepów, jakich używa się do polowania na te zwierzęta. Zapas mięsa na zimę uradowałby wszystkich w osadzie. W parę dni później pojechał z synem do skrytki nad brzegiem morza, żeby zabrać zmarznięte mięso morsa. W chwili gdy Anaruk poprawiał uprząż, usłyszał raptem przenikliwy krzyk. Tak krzyczy człowiek w niebezpieczeństwie. Porwał z sani ciężki oszczep i rzucił się w kierunku skrytki. Serce w nim zamarło, gdy za niewielkim pagórkiem dostrzegł powalonego na lód ojca. Nad nim stał olbrzymi, biały niedźwiedź.

Chłopcu wydawało się, że nogi wrosły mu w lód. Przemógł się wreszcie i wolno, krok za krokiem, zaczął podchodzić do napastnika. Niedźwiedź, zdziwiony, poruszył się niespokojnie, uniósł pysk w górę, zawęszył,

przyglądając się Anarukowi małymi, świdrującymi ślepiami. Chłopcu serce biło jak młot. Już, już chciał rzucić oszczepem, ale bał się, że jest jeszcze zbyt daleko. Niedźwiedź zamruczał groźnie, zasapał i podniósł się na tylnych łapach. Był olbrzymi. Anaruk jednym susem skoczył naprzód, co sił w ramieniu wbił oszczep w kudłatą pierś, a drugi koniec bronii wparł w śnieg, tak jak go uczył Tugto. Zamknął oczy i bez tchu czekał, aż potężna łapa zwali mu się na głowę. Czekał długo. Otworzył jedno oko, drugie. I sam sobie nie wierzył. Niedźwiedź stał wciąż naprzeciwko niego, pochylony do przodu ciężarem potężnego cielska, wparty w oszczep, który na wylot przebił nru serce. Cichy jęk przywrócił Anarukowi przytomność. Przypadł do ojca. Tugto leżał wciąż nieruchomo, ale mocno obydwoma rękami przyciągnął syna.

— Myślałem, że cię już nie zobaczę. Uratowałeś mi życie. Jesteś prawdziwym myśliwym — wyszeptał. — Nie, to nic — dodał szybko, widząc przerażony wzrok chłopca, nie mogącego oczu oderwać od wąskiej strużki krwi, która z nogi ojca spływała na lód.

— Weź mój oszczep i mocno przywiąż mi do nogi. Nie, nie tak! Czas, synu, żebyś i tego się już nauczył. Ty, który potrafisz sam jednym ciosem zabić niedźwiedzia.

Anaruk uwijał się, jak mógł, bo obaj bali się, że lada moment może się zjawić drugi niedźwiedź. Tugto wciągnął się z pomocą syna na sanie. Psy stały spokojnie, jakby czuły, że nie pora teraz na szczenie. Anaruk, jak umiał, przywalił swą zdobycz bryłami lodu i ostrożnie, uważając, żeby się sanie nie przewróciły, wiózł ojca do osady.

W igloo zajęliśmy się wszyscy rannym, ułożyliśmy go wygodnie na skórkach, nakarmili i napoili. Tugto opowiadał coraz to innym, wpelzającym do igloo znajomym, że Anaruk jest dzielnym chłopcem, który na widok napastnika nie stracił głowy. Prosił ich także, żeby zaprzęgli psy do sań i z Anarukiem pojechali po mięso niedźwiedzia.

Tugto opowiedział mi, jak kiedyś zniecka napadł go wielki biały miś.

— Jedno uderzenie potężnej łapy powaliło mnie, jak teraz, na lód. Zacząłem szamotać się i krzyczeć. Na widok nadbiegających ludzi zwierzę porwało się do ucieczki. Ale nie chciało mnie puścić. Złapało zębami za rękaw i biegnąc w stronę morza, ciągnęło mnie po lodzie. Myślałem, że to już

koniec. Niedźwiedź w morzu pływa jak ryba, a ja od razu utonąłbym. Na brzegu zaczepiłem nogami o jakąś bryłę lodu. Prześladowca puścił mnie i jednym susem znalazł się w morzu, a ja długo jeszcze leczyłem się z ciężkich ran. Teraz przynajmniej wiem, że jeśli stałoby mi się coś złego, syn zastąpi mnie i moja rodzina nie zginie z głodu.

Anaruk nie wiedział wprawdzie, co to jest szkoła, ale każdego dnia zdobywał nowe, pożyteczne wiadomości. Podczas zimy Tugto cierpliwie pokazywał mu, jak wyrabiać narzędzia i broń; jak atakować morsa, a jak fokę, jakiej broni używać na wieloryba. Mimo najlepszych chęci mógł nauczyć syna tylko tego, czego on sam dowiedział się od swego ojca i dziada. Nie wiedział, że na świecie wszystko się nieustannie zmienia i że oprócz pustynnej, mroźnej Grenlandii istnieją kraje, gdzie ludzie żyją łatwiej i lepiej.

Nim Tugto zaczął chodzić o własnych siłach, nieraz wybiegałem z Anarukiem przyjrzeć się, jak poluje na foki. Zabieraliśmy ze sobą i dzidy, i harpuny, na rękojeściach których wyrzeźbione były foki. To jest broń, którą wolno polować tylko na te zwierzęta. Gdyby użyć je do innego polowania, foki, obrażone, przestałyby odwiedzać te okolice. Tak przynajmniej wierzą Eskimosi.

Zimą, kiedy lód pokrywa morze, uwięzione tam foki przebijają małe otwory, do których podpływają od czasu do czasu, żeby zaczerpnąć powietrza. Otwory te od strony wody nabierają z czasem kształtu dzwonu, ponieważ foka podpływając wytapia lód ciepłem własnego ciała. Kiedyś noga wpadła mi do takiego otworu, lód zaczął pękać wokół i źle byłoby ze mną, gdyby w porę z pomocą nie pośpieszył mi Ana-ruk.

Chcąc wiedzieć, kiedy foka podpłynie, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, Anaruk założył nad otworem w lodzie małą lalkę z rogów rena. Rozpostarte ramiona i nóżki okleił przedtem delikatnym ptasim puchem. Gdy tylko foka podsunie głowę do otworu, oddech jej porusza lekko puch.

Długo staliśmy nad otworem z harpunami gotowymi do rzutu, nie rozmawiając, wstrzymując nawet oddech, żeby nie spłoszyć czujnego zwierzęcia. Godzina mijała za godziną. Zmarzłem na kość. Już miałem odejść, a tu naraz jak Anaruk nie ciśnie harpunem w ciemną głębię!

Zakotłowała się woda. Linka, do której umocowany jest harpun,

wyprężyła się. Nie czekaliśmy na darmo.

Tugto był bardzo zadowolony z syna, gdy zobaczył, że ciągniemy wspaniałą zdobycz.

Eskimosi polują, jak tylko nadarzy się im sposobność. Nie dla przyjemności czy dla zabawy, a z potrzeby. Nigdy nie wiadomo, kiedy przyjść może głód.

Tugto ze zgrozą wspominał niedawną zimę.

— Zjedliśmy wtedy wiele naszych psów, a sam rozumiesz, jaka to straszna ostateczność zabić wiernego przyjaciela, którego wychowywało się od małego szczeniaka. Zjadaliśmy skórę naszych namiotów, wyszukiwaliśmy pod śniegiem ogryzione dawno kości, żeby jeszcze raz wyssać z nich każdą kropelkę szpiku. Gotowaliśmy rzemienie, uprząże, ubrania. Ale to wszystko nie pomagało. Wielu myśliwych nie przeżyło tej zimy.

Głodni, wyjeżdżaliśmy daleko od naszej osady w poszukiwaniu zwierzyny. Głodne psy, chude jak szkielety, ledwo ciągnęły sanie. Byliśmy słabi, potykaliśmy się co krok. Gdy raz wreszcie zobaczyłem fokę, osłabiona ręka i zamglone oko zawiodły mnie — zwierzę znikło pod lodem. Staliśmy na mrozie długie godziny, czekając, aż ukaże się znowu. Czekaliśmy na próżno. Długo, bardzo długo krążyliśmy po całym wybrzeżu. Nigdzie ani śladu zwierzyny.

Powrót był bardzo smutny. Psy nie miały siły ciągnąć pustych sań, a jeśli widziały, że jeden z ich towarzyszy nieruchomiał na lodzie, rzucały się i rozszarpały go w kawałki.

Gdy powracałem do domu z pustymi rękami, panowała w nim cisza. Osłabione głodem dzieci leżały bez ruchu, nawet Anaruk nie przybiegał, jak zwykle, pomagać mi zdjąć uprząż z psów. Nie skarżył się, nie płakał, ale jego oczy były tak smutne, że uciekałem z igloo i znów daremnie błąkałem się po krach w poszukiwaniu mięsa.

Tak się jakoś złożyło, że przez cały czas mego pobytu nie brakło zwierzyny w okolicy. Eskimosi są bardzo przesądni — przekonani byli, że to moja obecność przynosi im szczęście. Toteż przynosili mi z każdego polowania najsmaczniejsze kąski: serce niedźwiedzia, wątrobę foki, a na wiosnę — żołądki renów i ptaków. Wszystko oczywiście na surowo.

Gdy pierwszy raz poczęstowano mnie takim przysmakiem, odwróciłem

się ze wstrętem! Trzeba było jednak zmusić się do przełknięcia nie-apetycznej potrawy, bo w żołądkach zwierząt trawożernych znajdują się na wpół strawione mchy i trawy, zawierające niezbędne dla zdrowia ludzkiego witaminy. Nie radziłbym ich jednak nikomu próbować pod tą postacią. Na samo wspomnienie dreszcz mnie jeszcze przechodzi.

W maju słońce świeciło już całe dwadzieścia cztery godziny. Oczy bolały od jego blasku. Ponieważ popsuły mi się moje przeciwsłoneczne okulary, Anaruk sporządził mi inne, takie, jakie sam nosił, z cienkiej płytki kościanej z waziutką szparką pośrodku, wszyte w szeroki rzemień opasujący głowę. Wygodne to nie było, ale nie lękałem się przynajmniej strasznej choroby, zwanej ślepotą śnieżną.

Ziemia pokryta była jeszcze grubą warstwą śniegu, ale morze zaczęło się już uwalniać od lodu. Wielkie fale łamały z hukiem grube pola lodowe i olbrzymie kry odpływały od brzegu na pełny ocean.

W tym czasie przychodzą na świat małe foki. Bardzo się zdziwiłem, zobaczywszy po raz pierwszy takie maleństwa: były zupełnie białe i miały długą, puszystą sierść. Najdziwniejsze wydawało mi się to, że nie umieją pływać. Dorosłe foki-matki nie ratują się ucieczką, gdy myśliwi zbliżają się do małych: nie opuszczają nigdy dzieci w niebezpieczeństwie.

Na wiosnę Eskimosi wyszukują chętnie gniazda ptasie i wybierają z nich jajka. Pierwszego pogodnego dnia Anaruk z całą rodziną wybrał się na niewielką wysepkę w pobliżu brzegu; w ciągu paru godzin zebrali ponad pięć tysięcy jajek. Nie zjedli ich, ma się rozumieć, od razu. Matka Anaruka włożyła jajka do wielkiego worka ze skóry foki i zakopała głęboko w śniegu. Zamarznięte, przechowują się tak aż do następnej wiosny. Skrytkę musiała bardzo dokładnie zabezpieczyć przed lisami, które przepadają za tym przysmakiem.

Eskimosi szczególnie cenią dzikie kaczki, zwane edredonami. Mięso ich jest bardzo smaczne, a pokrywający je puch nadzwyczaj delikatny i gęsty. Wczesną wiosną, gdy kaczka znosi pierwsze jajka, zaczynają jej z piersi wypadać piórka. Skrzętnie zbiera wszystkie dziobkiem i układa w miękka, lekką pierzynkę, która doskonale chroni jajka przed zimnem. Pozbawieni możliwości ubrania się w ciepłą, wełnianą bieliznę Eskimosi zdejmują z kaczek

edredonowych całe skórki i szyją sobie z nich kaftany, nosząc je na gołe ciało, puchem do wewnątrz.

Pewnego wiosennego dnia obudziły mnie krzyki znad morza. Niosły się po całej osadzie. Wskoczyłem przed igloo. Wszyscy biegli na brzeg. Anaruk krzychał coś do mnie z daleka, ale go nie zrozumiałem. Myśliwi wyciągali pospiesznie długie, co najdłuższe harpuny, olbrzymie zwoje grubej, rzemiennej liny. Wszyscy wpatrywali się w morze, coś sobie pokazując. Długo niczego nie mogłem dojrzeć, naraz w paru punktach jednocześnie nad buroolowaną falą wykwitły wysokie, białe pióropusze. Już wiedziałem — wieloryby. Nad wodą wynurzyły się ogromne jak wysepki, szare grzbiety. Zwierzęta powoli płynęły w naszą stronę. Już teraz dokładnie widziałem buchające raz po raz z nozdrzy, wysokie na parę metrów, strumienie skroplonej pary.

Bardzo chciałem popłynąć razem z myśliwymi, ale moja prośba wprawiła ich w wielkie zakłopotanie. Zaczęli mi tłumaczyć, że to bardzo niebezpieczna wyprawa.

Gdy mimo to nie ustępowałem, Tugto powiedział mi szczerze, że wieloryb może obrazić się, jeśli na pierwsze polowanie zabiorą ze sobą obcego człowieka. Ustąpiłem od razu. Jeżeli polowanie nie udałoby się, powiedziano by może później, że to moja wina.

Z biciem serca patrzyłem, jak łódzie półkolem zbliżyły się do wieloryba, spokojnie wylegującego się w morzu. Duża, drewniana szalupa pierwsza podpłynęła do tej „pływającej wyspy”. Stojący na samym dziobie myśliwy zamachnął się i z ogromną siłą wyrzucił harpun. Wieloryb targnął się do przodu i, młócąc na wszystkie strony o wodę olbrzymim, rozwidlonym ogonem, znikł w falach. Morze zakotłowało się, wzburzyło, wysoka fala przetoczyła się przez łódkę. Wydawało mi się, że zatonała razem ze wszystkimi ludźmi, ale już po chwili wychyliła się znów, ociekając strumieniami wody. Wioślarze wiosłowali co sił w ramionach, dwaj myśliwi z toporami w rękach nie spuszczały z oczu rzemiennej liny harpuna, wciąganej pod wodę przez nurkującego wieloryba.

Mniejsze łódzie trzymały się z dala, wyczekując, aż wieloryb wysunie pysk nad falę, żeby zaczerpnąć oddechu. Z przerażeniem zobaczyłem, że

Anaruk, mocno zagarniając wiosłami wodę, na swym małym kajaku płynie w stronę myśliwych. Był już niedaleko, gdy naraz z potężnym sapnięciem wypłynął wieloryb.

Wszystkie łodzie pomknęły do niego. Parę harpunów utkwilo w szarym, oślizłym grzbiecie. Zwierzę ciskało się po morzu, wzbijając wokół siebie ogromne fale. Kajak Anaruka dawno już znikł mi z oczu. Dopiero po dłuższej chwili zobaczyłem, jak szybko chłopak wiosłuje z powrotem do brzegu. Wiosłował dziwnie, jedną ręką, drugą trzymając wciąż w wodzie — przechylony przez burzę kajaka. Co mu się stało? Może został raniony? Raz po raz skrywała go fala.

Wieloryb coraz wyraźniej tracił siły, coraz dłużej zostawał na powierzchni morza. Anaruk był już przy brzegu. Teraz dopiero widać było, że ciągnie ze sobą harpunnika, którego fala zmyła z drewnianej szalupy. W zamęcie polowania nikt tego nie spostrzegł. Natychmiast zastosowaliśmy myśliwemu oddychanie. Dużo czasu minęło, nim otworzył oczy, bo, biedak, nałykał się niemało morskiej wody. Gdy tylko odzyskał przytomność, sam nie wiedział, jak dziękować Anarukowi za uratowanie mu życia. Polowanie dobiegało końca. Myśliwi wyteżali wszystkie siły, wiosłując do brzegu. Na wielu rzemiennych linach z trudem ciągnęli za sobą ubitego wieloryba. A było co ciągnąć. Zdobycz nasza ważyła co najmniej pięćdziesiąt tysięcy kilogramów. Na przewiezienie jej kolejną trzeba byłoby użyć przynajmniej sześciu wagonów towarowych, a bywają wieloryby znacznie większe.

Dopiero teraz zacząłem uważnie przyglądać się wielorybowi. To, co zobaczyłem, przeszło wszelkie moje oczekiwania. Olbrzymie, szare cielsko przypominało kształtem potwornych rozmiarów rybę. Tylne płetwa była wielka, mięsista i, w przeciwieństwie do rybiej, nie pionowa, ale pozioma. Zabite zwierzę wyglądało jak góra mięsa. Wysoka, dwa lub może trzy razy wyższa od najwyższego człowieka. Cielsko było drugie, tak jak postawione, jeden za drugim, cztery duże autobusy PKS.

W olbrzymiej paszczy nie było zębów, tylko z górnej szczęki zwisały jak zasłony całe szeregi cienkich, postrzępionych płytek fiszbinowych. Ogromna głowa zajmowała przynajmniej jedną trzecią długości ciała. Sam język, duży, mięsisty, w którym człowiek mógł zapaść się po kolana, musiał ważyć chyba

ze trzy tony.

Uwagę moją zwróciła wielka masa mięsa, którą przed chwilą wydobyto z wnętrza wieloryba. Ze zdziwieniem dowiedziałem się, że jest to serce zwierzęcia.

Waży tyle co ośmiu dorosłych mężczyzn. A sama słonina ma prawie trzydzieści centymetrów grubości.

W dwa dni później odbyła się w osadzie wielka uczta, na którą zjechali się goście, zaproszeni z odległych nawet osad.

Mnie ofiarowano olbrzymi kawał różowego mięsa wielorybiego. Ugotowałem sobie z niego rosół; mięso smakowało jak wołowina i prawie zupełnie nie miało zapachu tranu.

W ogóle muszę przyznać, że z tego co jadłem na Dalekiej Północy, najbardziej przypadło mi do smaku mięso białego niedźwiedzia i wieloryba. Fokę, nie mówiąc już o morsie, wspominam z obrzydzeniem: mięso jej jest twarde, żylaste i prawie czarne.

Uczta trwała cztery dni bez przerwy. Może nawet ciągnęłaby się dłużej, gdyby nie przerwał jej przyjazd statku wielorybniczego.

Kapitan zaprosił do siebie na pokład myśliwych z osady. Chciał namówić paru z nich, żeby popłynęli z nim jako harpunnicy. Znał już ich z poprzednich lat i wiedział, że mają niezawodną rękę i nadzwyczajnie bystry wzrok, ale oni nie chcieli opuszczać swych rodzin.

Podczas poczęstunku na statku Anaruk pierwszy raz w życiu spróbował chleba. Nie bardzo mu smakował. — Wolę jeść dalej surowe mięso — wyznał mi po cichu.

Bardziej za to przypadła mu do gustu musztarda. Spalaszował cały duży słoik tej przyprawy i pytał, czy co dzień jadamy w domu takie smaczne rzeczy.

Dowiedziawszy się, że kapitan odpływa na Spitsbergen, skąd łatwiej przyjdzie mi znaleźć statek, który zabierze mnie do Europy, poprosiłem go, żeby mnie zabrał ze sobą. Żał mi było zostawiać moich grenlandzkich przyjaciół, ale stęskniłem się już bardzo za domem.

Jeden z marynarzy przechwalał się ciągle swoją zręcznością. Mówił, że to nic trudnego polować z kajaka. Eskimosi nie lubią takich ludzi.

— Pokaż nam, co potrafisz — powiedział Tugto, wskazując samochwałowi uśpionego na krawędzi kry morsa. — Morze jest spokojne, niczym nie ryzykujesz.

Marynarzowi nie trzeba było dwa razy powtarzać takiego wezwania. Wskoczył do kajaka, podpłynął na odległość zaledwie paru metrów do zwierzęcia, które rozespane nie drgnęło nawet, niczego nie przeczuwając. Gdy pewien zwycięstwa marynarz kładł palec na cynglu, kajak podskoczył raptem, jakby wyniesiony w górę jakąś potężną dłonią. Kula przeszła wysoko nad głową morsa, a marynarz wczepiony jedną ręką w burzę, drugą ze wszystkich sił wiosłował do brzegu. I cóż się okazało? Jakiś mors szukający w głębi oceanu pożywienia wypływał właśnie na powierzchnię morza, by zaczerpnąć oddechu, i natrafił niespodziewanie na przeszkodę w postaci kajaka. Nie wiadomo, kto się więcej przeraził, marynarz, który przypadkiem uniknął kąpieli w lodowatej wodzie, czy biedne zwierzę, które nie miało wcale złych zamiarów. Nauka nie poszła w las. Marynarz już nigdy nie przechwalał się swoją zręcznością.

Rodzina Anaruka na moje pożegnanie wyprawiła ucztę i zaprosiła na nią wszystkich myśliwych z rodzinami.

Zasiedliśmy kołem na rozłożonych skórkach przed namiotem. Matka Anaruka, nie szczędząc zapasów, wyniosła na drewnianej tacy olbrzymi kawał gotowanego rena. Chcąc mi specjalnie dogodzić, gotowano go dłużej niż normalnie.

Po uczcie, jak zwykle, rozpoczęły się zabawy.

Ze smutkiem żegnałem się z tymi dzielnymi ludźmi, a najtrudniej było mi się rozstać z Anarukiem. Przy pożegnaniu ofiarował mi swój amulet, który nosił stale w skórzanym woreczku na piersiach.

Eskimosi wierzą, że pewne przedmioty zapewniają im szczęście i pozwalają uniknąć niebezpieczeństwa. Tak na przykład wysuszona łapka mewy czyni tego, kto ją stale nosi przy sobie, doskonałym wiosłarzem, a ząb rena — podobno świetnym myśliwym. Wierzą również, że małe kawałki skóry rena, naszyte na ubraniu, zabezpieczają przed odmrożeniami. Mnie się jednak wydaje, że przy wielkich mrozach lepiej jest owinać się grubym futrem.

Eskimosi noszą tych amuletów całe mnóstwo. Byłem bardzo wzruszony prezentem Anaruka, bo wiedziałem, jak niechętnie myśliwi rozstają się z amuletami. I ja także każdemu z nich pozostawiłem jakąś pamiątkę. Tugto dostał mój karabin z amunicją. Anaruk namiot, śpiwór, kuchenkę, menażki, toporki, stalowe łopatki, kilofy. Takiego ekwipunku nie miał dotąd na pewno żaden Eskimos.

Przeraziłem się jednak na dobre, gdy i inni myśliwi zaczęli przynosić mi najrozmaitsze przedmioty, mające mnie uchronić od wszystkich możliwych nieszczęść. Obawiałem się, żeby nie spotkało mnie to samo, co znanego podróżnika duńskiego. Zbierał on dla celów naukowych amulety Eskimosów. Mieszkańcy pewnej osady zgodzili się oddać mu je pod warunkiem, że w zamian ofiaruje każdemu kosmyk swych włosów. Sądzi, że to jedno może im zastąpić oddane amulety. Niewiele brakowało, a słynny podróżnik powróciłby do kraju zupełnie łysy. Ode mnie tego, na szczęście, nie żądano.

Bardzo serdecznie pożegnałem się ze wszystkimi, a z małym Anarukiem pocałowaliśmy się po grenlandzku, to znaczy dotknęliśmy się parę razy nosami. Żał mi było bardzo opuszczać Grenlandię.

— Będziemy o tobie zawsze pamiętać — powiedział mi z powagą Tugto. — Jeśli kiedykolwiek będzie ci źle wśród twoich braci, przyjeżdżaj do nas. Przyjmiemy cię zawsze z otwartymi ramionami. I my, i nasze dzieci, i dzieci naszych dzieci.

Długo z pokładu statku patrzyłem na niknące lodowce i góry. Nie dziwiłem się, że moi przyjaciele tak bardzo kochają ten piękny kraj, do którego i ja będę zawsze tęsknić.